

Gdy nikt nie patrzy



NATALIA KULPIŃSKA
A.P. MIST

NATALIA KULPIŃSKA
A.P. MIST

Gdy nikt
nie patrzy



Copyright © by NATALIA KULPIŃSKA
Copyright © by A.P. MIST
Copyright © by Moje Wydawnictwo
All rights reserved · Wszystkie prawa zastrzeżone

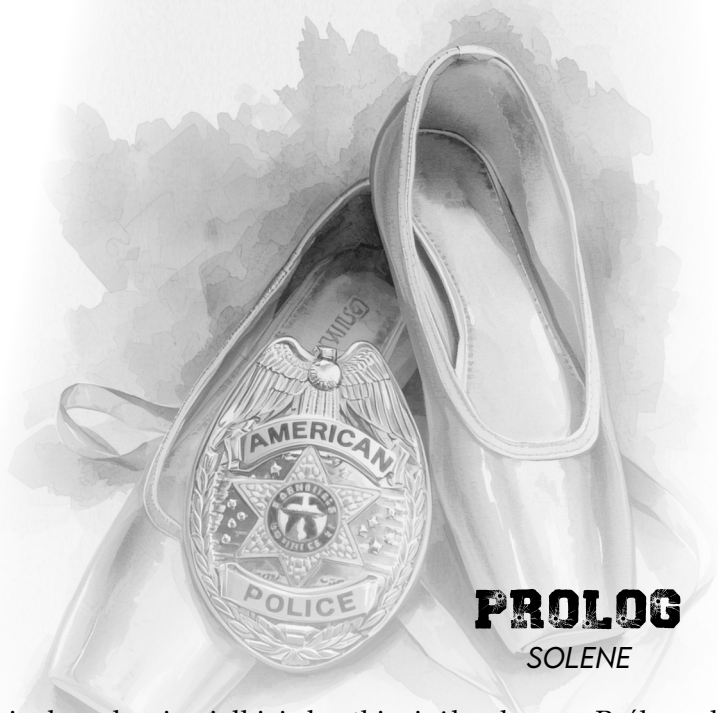
Redakcja: Barbara Wrona (tekstnanowo.pl)
Korekta: Agnieszka Liszowska
Skład i łamanie tekstu: K&K Designer
Projekt graficzny książki: K&K Designer
Fotografia na okładce: canva.com

ISBN Papier: 978-83-68147-72-8
ISBN Ebook: 978-83-68147-73-5
ISBN Audio: 978-83-68147-74-2



Moje Wydawnictwo

-  www.mojewydawnictwo.pl
-  wspolpraca@mojewydawnictwo.pl
-  [mojewydawnictwo](https://www.instagram.com/mojewydawnictwo)
-  [mojewydawnictwo](https://twitter.com/mojewydawnictwo)
-  [moje.wydawnictwo](https://www.soundcloud.com/moje.wydawnictwo)
-  [mojewydawnictwo](https://www.facebook.com/mojewydawnictwo)



PROLOG

SOLENE

Wbiegłam do niewielkiej skrytki, ciężko dysząc. Próbowałam uspokoić oddech i szaleńcze bicie serca. Drżącymi dłońmi sięgnęłam po szary uniform i pospiesznie go włożyłam. Wzięłam jeszcze kilka głębokich haustów powietrza, po czym wyszłam na korytarz.

Zaczynałam od końca. Zawsze. Najpierw pokój socjalny, potem toalety, następnie korytarze – a dopiero na samym finiszu główne lobby. Tak było bezpieczniej. Mniej ludzi. Mniej spojrzeń. Mniej ryzyka.

Tego wieczoru nikt nie krzątał się po biurach. Pełna niedopowiedzeń cisza ogarniała komisariat jak gęsty dym. Słyszać było tylko delikatny chłupot wody w wiadrze i szuranie mojego mopa po zimnej, zużytej podłodze. Gdzieś w oddali dzwoniący telefon, głosy policjantów, którzy liczyli na spokojną służbę i spoczywali w skrzypiących fotelach.

Naiwnie wierzyli, że nocne Los Angeles ich oszczędzi.

Pokręciłam głową i skupiłam się na pracy. Znałam ten rytm na pamięć. Ręka ściskająca kij. Krok w bok. Obrót nadgarstka. Przesunięcie. I znów. To był taniec. Mój drugi świat miał światła i muzykę, ten miał tylko zapach chloru i metaliczny posmak pasty

do podłóg. Ale i tu, i tam ciało mówiło za mnie.

Tylko że tutaj nikt nie klaskał.

Nachyliłam się, by wytrzeć smugę na kaflach, gdy drzwi wejściowe z hukiem uderzyły o ścianę. Dźwięk odbił się echem po korytarzach, przecinając ciszę jak nóż. Drgnęłam.

– Kurwa mać! – wrzasnął mężczyzna.

Serce mi podskoczyło. Nie musiałam zobaczyć tej osoby, żeby wiedzieć, kto wszedł.

Rzuciłam okiem na zegar wiszący pomiędzy filarami. Dokładnie dwadzieścia minut przewagi.

Detektyw Raphael Stone. Głośny, nieustępliwy, zawzięty. Twardy jak kamień. Mówią, że nie odpuszcza nikomu. Że potrafi złamać nawet najbardziej opornego świadka samym spojrzeniem.

Zacisnęłam palce mocniej na trzonku mopa i wsunęłam się głębiej w cień za ladą recepcji, próbując zniknąć. Nie chciałam, żeby mnie zauważył. Nie dzisiaj.

Złowrogi rytm jego kroków niósł się po płytkach jak ostrze wbijane cał za całem w skórę. Jego buty uderzały o podłogę z siłą, która zdradzała więcej niż jakiegokolwiek słowa.

– Znów mi się wymknęli – warknął, kiedy napotkał swojego kolegę. – Cholera jasna.

Usłyszałam, jak rzucił coś na biurko – prawdopodobnie raport, może kurtkę.

– Gdzie tym razem?

– Ta sama banda. Te same maski. Całe cholerne tłumy dookoła z telefonami. Działają jak dobrze naoliwiona maszyna. Tylko nielegalna. I głupia. Gdyby ktoś został strатовany przez ten ich flash mob... – zawiesił głos. – Zanim zdążyłem się przecisnąć przez ludzi, rozplynęli się, kurwa, w powietrzu.

Zamrugałam. Moje dłonie drżały.

Przypominałam sobie błysk reflektorów z Santa Monica Boulevard, odbicia w szybach, echo naszych kroków na betonie. Adrenalina, która wtedy mnie niosła, teraz rozproszyła się w trzewiach.

– Muszą mieć przecieki. Ktoś im pomaga. Albo mają jakiś

choler... cholerny radar – mruczał. – To nie jest przypadek, że zawsze są dwa kroki przede mną.

Zaczęłam się wycofywać. Po cichu. Powoli przesuwalam się wzdłuż ściany, żeby zejść mu z drogi. Ale wtedy odgarnął papiery i nagle podniósł wzrok.

Zobaczył mnie.

Stałam jak wmurowana, z mopem w dłoni, jak jakaś idiotka.

– Czego tu szukasz? – rzucił z irytacją. – Musisz tak tym mopem skrzypieć po całym korytarzu?

W jego głosie nie było krzty uprzejmości.

– Przepraszam – szepnęłam i spuściłam wzrok. Nie dlatego, że się go bałam. Wręcz przeciwnie. – Chciałam tylko coś panu doradzić – dodałam i nie mogąc się powstrzymać, uśmiechnęłam się pod nosem.

Wpatrywał się we mnie. Jego spojrzenie było twarde, ciemne. Zbyt czujne jak na człowieka, który miał mnie uważać za niewidzialną.

– Tak?

– Musi pan popracować nad kondycją. Wtedy będzie pan biegał tak szybko, jak ci tancerze. – Puściłam mu oko, po czym prędko umknęłam, zanim zdążył zareagować i mnie udusić.

– Pierdolona smarkula! – ryknął do moich pleców, a później tylko usłyszałam trzaśnięcie drzwi jego biura.

Oddychałam płytko, jakbym znów przebiegła kilka przecznic. Ścisnęłam kij tak mocno, że aż zbiełały mi knykcie.

Był tak blisko.

Serce waliło mi w piersi jak szalone – nie ze strachu.

Z emocji.

Z adrenaliny.

Z rytmu.

Z tego samego rytmu, który pulsował pod moją skórą, kiedy tańczyłam kilka godzin wcześniej w blasku miejskich świateł.

Tego, którego on nie rozumiał.



ROZDZIAŁ 1

RAPHAEL

Miałem ochotę rozwalić pięścią szybę w radiowozie, ale jedyne, co zrobiłem, to mocniej zacisnąłem dłoń na kierownicy i gapiłem się w ciemniejące niebo nad miastem, jakby miało mi odpowiedzieć, gdzie się podziali. Znow umknęli. Jak duchy. Jakby ich nie było. A przecież ich widziałem. Słyszałem ten cholerny bas odbijający się od ścian budynków, ludzi klaszczących do rytmu, te przekłete światła w telefonach unoszące się jak iskry nad betonem.

Flash mob. Kolejny. Trzeci w tym tygodniu.

– Cholera jasna – mruknąłem i uderzyłem w kierownicę.

– Spóźniliśmy się jakieś trzy minuty – odezwał się z fotela pasażera Torres, młodszy gliniarz z dużym ego i jeszcze większą nadzieją, że uda mu się kiedyś mnie przegonić. – Kamera na rogu ulicy zarejestrowała tylko rozmyte sylwetki. Za mało, by cokolwiek wyciągnąć.

Odwrociłem głowę. Miałem wrażenie, że krew gotuje mi się pod skórą.

– Trzy minuty to o trzy za dużo.

– Stone, to tylko tańczące dzieciaki. Nie napadli na bank.

– To nie są tylko dzieciaki, do cholery – syknąłem. – To zorganizowana grupa, która blokuje ulice, zakłóca ruch i łamie przepisy.

Ktoś to koordynuje. I nie robi tego dla zabawy.

Torres uniósł ręce w geście poddania, ale widziałem w jego oczach to, co mnie wkurzało jeszcze bardziej – pobłażliwość. Ten typ myślał, że przesadzam. Że biorę to zbyt serio. Może i tak. Ale ja nie byłem tu, żeby się uśmiechać do przechodniów i pozwalać na chaos w mieście. To nie była moja filozofia.

Czułem, jak coś ściska moje wnętrze. Porażka. I nie taka mała, chwilowa. Ta zaczynała mnie zjadać od środka. Każdy z tych cholernych flash mobów kończył się tym samym: smarkacze rozbiegali się w kilka sekund, jakby ćwiczyli to latami, choć zaczęli działać w mieście od roku. Żadnych nazwisk. Żadnych twarzy. Zero tropów.

A ja? Ja byłem detektywem od jedenastu lat. Miałem za sobą sprawy o morderstwa, rozboje, zbrodnie z premedytacją. I teraz miałem dać się ograć grupie tańczących małolatów?

– Jedziemy na komisariat – warknąłem. – Muszę to spisać, zanim znowu ktoś stwierdzi, że jestem przewrażliwiony.

Torres pokiwał głową i nie odezwał się już ani słowem.

Czułem, jak pot rosi mi kark, kiedy wchodziłem do komisariatu. Jasne światła uderzyły mnie po oczach, a gwar nocnej zmiany wbił się w uszy. Zwyczajne dźwięki – klawiatury, rozmowy, brzęk kubków z kawą. Normalność. A we mnie wszystko buzowało.

Minąłem recepcję, nie patrząc na nikogo, i ruszyłem korytarzem w stronę biura. Kątem oka zarejestrowałem postać w granatowym uniformie sprzątaczk. Sunęła mopem po podłodze w równym tempie, jakby nic się nie stało. Jakby świat nie trząsł się w posadach, a mi nie waliła się kariera.

Zatrzymałem się na moment. Nie znałem jej imienia. Nigdy nie pytałem. I nie miałem zamiaru teraz. Ale coś w sposobie, w jaki się poruszała, pewnie, a jednocześnie ulotnie jak cień, sprawiło, że na ułamek sekundy się zawahałem. To było dziwne. Hipnotyzujące. Czułem jakbym miał déjà vu. Oczywiście zaraz zepchnąłem to w ciemny zakamarek umysłu. Miałem większe problemy niż sprzątaczk.

Ruszyłem dalej, trzaskając drzwiami od biura, a potem zrzu-

ciłem kurtkę na oparcie krzesła i włączyłem komputer energicznym ruchem, jakbym chciał ten kawałek elektroniki zmusić do posłuszeństwa.

– Zaczyna ci się to wymykać spod kontroli, Stone – powiedziałem do siebie półgłosem.

I to była prawda. Pierwszy raz od lat czułem, że coś mi umyka. Że nie jestem w stanie złapać oddechu, bo każdy trop prowadzi donikąd. Każde zdjęcie, każdy film, każda obserwacja była bez sensu, bo oni byli zawsze krok przede mną.

A najgorsze było to, że nikt inny nie traktował tego poważnie. Wszyscy wzruszali ramionami, śmiali się z filmików na TikToku i mówili, że przynajmniej nie robią nikomu krzywdy.

Ja nie umiałem się śmiać.

Wiedziałem, że stoi za tym ktoś, kto doskonale rozumie miasto. Kto zna jego tempo. Jego puls. I potrafi wbić się w ten rytm.

To był ktoś z planem.

Poczułem lodowaty dreszcz na karku.

– Znajdę cię – mruknąłem. – I jak cię znajdę, to już nie będzie taniec. Będzie koniec gry.

Nie wiedziałem wtedy, że ta gra już się zaczęła. I że tańczyłem w niej, nawet o tym nie wiedząc.

Kolejny raz skupiłem wzrok na sprzątacze, która kręciła się za szklanymi ścianami. Wyraźnie było widać, że chciała pozostać niezauważona. Wtopić się w otoczenie. Ale ja ją widziałem. Coraz wyraźniej...

Wyszedłem z komisariatu tuż po szóstej rano. Miasto dopiero się budziło, ale ja nie miałem w sobie ani krztyn świeżości. Czułem się jak wypalony knot świecy, dymiący, osmolony, zostawiający po sobie tylko drażniący zapach spalenizny.

Niebo było bladoniebieskie, z wąską smugą różu nad horyzontem, jakby ktoś przeciągnął po nim pędzlem, nadając mu nieco łagodności. Dawno nie czułem niczego, co miałoby coś wspólne-

go z łagodnością. Wszystko we mnie było napięte, jak struna chwilę przed pęknięciem.

Zaciągnąłem się powietrzem – chłodniejszym, niż się spodziewałem – i wsunąłem dłoń w kieszenie kurtki. Ciało bolało mnie od siedzenia, głowa pulsowała od braku snu, a w środku nosiłem ten znajomy, wkurwiający smak frustracji i porażki.

Zatrzymałem się na chwilę na schodach przy bocznym wyjściu z komisariatu, tam, gdzie zwykle umykaliśmy, gdy nie chcieliśmy być zauważeni przez dziennikarzy albo innych funkcjonariuszy.

– Stone! – dobiegł mnie głos zza pleców. Odwróciłem się niechętnie.

To był Martin, stary wyga, który już dawno zrezygnował z ambicji i teraz tylko czekał na emeryturę, wypełniając papierki i popijając kawę.

– Nie spałeś, co?

– A ty kiedy ostatnio spałeś spokojnie, mając w głowie listę niezamkniętych spraw?

Wzruszył ramionami i pociągnął łyk parującego napoju z plastikowego kubka. Pachniało jak spalona ziemia i papier. Czyli kawa z automatu.

– Ludzie mówią, że za bardzo się w to wszystko wkręcasz – powiedział w końcu. – Że przez te dzieciaki wpadasz w obsesję.

Zacisnąłem zęby. To jedno słowo – obsesja – miało dziwny ciężar.

– Może to właśnie problem – odparłem chłodno. – Że nikt inny nie traktuje tego poważnie. A to tylko kwestia czasu, aż coś pójdzie źle. Tłum, środek ulicy, ktoś zareaguje impulsywnie. Wystarczy iskra.

Martin zmarszczył brwi. Znał mnie na tyle długo, by wiedzieć, że nie rzucam słów na wiatr. Ale też był już na tym etapie życia, że wybierał, czym się przejmować, a co zwyczajnie mieć w dupie. I tym razem wygrało właśnie to drugie.

– No dobra, Stone. Ty rób swoje. Ale czasem... po prostu uważaj, żebyś nie zatracił się w tym wszystkim. W tej pracy łatwo o wypalenie. I o szaleństwo również.

Skinąłem głową, ale nie odpowiedziałem. On już odchodził, a ja zostałem sam na schodach, patrząc na ulicę, która właśnie zaczynała oddychać. Autobus miejski mignął na skrzyżowaniu, ktoś otwierał metalowe rolety przy sklepie z elektroniką. Ptaki darły się z gałęzi, jakby też chciały mieć coś do powiedzenia.

Wsiadłem do auta. Silnik zawarczał jak zmęczony pies i po chwili ruszyłem. Droga do domu była krótka, ale dla mnie ciągnęła się jak cholerna trasa maratonu.

Każde czerwone światło to była chwila na zaciskanie szczęki. Każdy przechodeń z telefonem w rękę – potencjalny nagrywający. Każda grupka młodych – potencjalni uczestnicy.

I wtedy, mijając park po lewej, zobaczyłem zarys czegoś znajomego. Tylko przez sekundę. Drobną postać, biały kaptur na głowie, z plecakiem przerzuconym przez ramię. Szła szybko, jakby nie chciała być zauważona. Albo jakby miała cel. Gdzieś głęboko zakłuło mnie podejrzenie.

Nie zatrzymałem się. Miałem za dużo w głowie. Ale obraz został. Zatrzymał się w mojej pamięci, jakby chciał wrócić. I wróci. Zawsze wracają.

Kiedy wreszcie zaparkowałem przed swoim domem, słońce zaczynało przebijać się pomiędzy budynkami. Nie chciałem go widzieć. Światło oznaczyło dzień. A dzień – ludzi. Ludzi, którzy tańczą i śmieją się, nie wiedząc, że ktoś próbuje zrozumieć, po co robią. Kto ich prowadzi.

Już po chwili przekręcałem klucz w zamku.

W domu panowała cisza, która zwykle mi nie przeszkadzała. Cisza to spokój. Porządek. Przestrzeń, w której można zebrać myśli. Ale tego ranka była zbyt głośna. Jakby dudniła mi między skroniami.

Zsunąłem buty, zdjąłem kurtkę, broń wrzuciłem do sejfu pod łóżkiem, nawet nie sprawdzając drugi raz, czy się zamknął. Opadłem na kanapę. Miałem dość nie tylko nocy, ale i siebie.

Nie spałem. Nie potrafiłem. Zamiast tego gapiłem się w sufit, a potem w ekran telefonu. Wróciłem jeszcze raz do nagrania z ostatniego występu. Dostaliśmy je z miejskiego monitoringu.

Słabe ujęcia, zniekształcone światło, twarze ukryte pod kapturami i maskami. A jednak było coś w ruchach tańczących ludzi. W pewności z jaką pojawiali się i znikali. Jakby to nie był spontaniczny pokaz. Jakby ktoś to naprawdę... reżyserował.

Zatrzymałem obraz w miejscu, gdzie dziewczyna w białym dresie robiła obrót, a potem z gracją uniosła dłonie w górę. To był taniec płynący z głębi, z buntu. Cholernie to irytujące. Bo widziałem w tym talent. A jednocześnie przestępstwo. Przerwali ruch na skrzyżowaniu. Ludzie byli zdezorientowani, jeden kierowca prawie potrącił przechodnia. To nie był niewinny taniec. To był pierdolony chaos.

Westchnąłem ciężko i oparłem głowę o zagłówek kanapy.

Może to właśnie dlatego nie mogłem ich złapać. Bo za bardzo próbowałem to zrozumieć. Nie mogłem przestać analizować. Te ruchy. Te punkty zbiorów. Zdolność znikania. Jakby znali każdy ślepy punkt monitoringu. Jakby ktoś z wewnątrz dawał im mapę. Ale przecież... to niemożliwe.

Albo właśnie to było najbardziej możliwe.

Zacisnąłem dłonie w pięści. Jeszcze kilka takich nocy i sam zacznę tańczyć, żeby rozładować napięcie.

Wstałem i poszedłem do kuchni. Nalałem sobie kawy z ekspresu, który warczał jakby nienawidził życia równie mocno jak ja. Napój był czarny jak moje myśli. Wypiłem pierwszy łyk i skrzywiłem się.

Zerknąłem na zegarek. Siódma trzydzieści. W teorii mógłbym przespać kilka godzin, ale wiedziałem, że nie zasnę. Nie z ciężarem porażki, który osiadł gdzieś między zębami.

Otworzyłem laptopa, jeszcze raz przeglądając raporty. Szukałem czegokolwiek. Wzoru, detali, niezgodności, powtarzalności. Znowu przewinałem zdjęcia z monitoringu. Zatrzymałem się na jednej klatce. Dziewczyna w cieniu słupa, nieruchoma, jakby obserwowana, a później stanęła na czele grupy i tańczyła tak, jakby do jej ciała przytwierdzone były niewidzialne żyłki, którymi pociągała, by kierować resztą grupy. Byli idealnie zsynchronizowani.

A później wystarczył ułamek sekundy, żeby rozproszyli się we wszystkie strony. Jak duchy. Rozpłynęli się w powietrzu.

Wciągnąłem powietrze przez nos, jakby to miało oczyścić moje myśli. Nie mogłem sobie pozwolić na paranoję. Już teraz zespół patrzył na mnie jak na psychopatę.

Ale ja... wiedziałem, że to się nie skończy dobrze.

I nie zamierzałem dać im wygrać.